

WSZYSTKO TO, CO MAMY, JEST W NASZYCH SERCACH

Urodził się i wychował w małej wiosce graniczącej z szybko rozwijającą się aglomeracją miejską. Był jedynakiem i tym faktem tłumaczono, niejednokrotnie tonem pełnym ironii, jego odmiennosc. Istotnie, był dziwnym dzieckiem. W czasie, gdy jego koledzy uganiaли się za piłką, ścigali na rowerach czy bawili w wojnę, on zamykał się w swoim pokoju i albo pogrążał się w dziecięcych marzeniach, albo całymi godzinami „rozmawiał” z hodowanymi w akwarium rybkami.

Mikołaja, bo tak miał na imię, poznałem w czasie kilkudniowego pobytu w szpitalu. Przebywał tam na badaniach kontrolnych; był nieuleczalnie chory, choć – jak zapewniali lekarze – przynajmniej na razie choroba nie zagrażała jego życiu. Na pozór od innych rówieśników różnił go tylko „dawidowy” kolor włosów, chociaż już po krótkiej rozmowie można było stwierdzić, że „coś w nim jest”. Rozmawialiśmy bardzo dużo i przez tych kilka dni poruszyliśmy chyba wszystkie możliwe tematy. Najciekawsze jednak były nasze nocne rozmowy, bo jak mawiał: „ciemność pozwala zdjąć wszystkie maski i stanąć w prawdzie przed samym sobą”. Ukradkiem sięgałem wtedy po dyktafon i na zasadzie sprzężenia zwrotnego prowokowałem go do szczerych wypowiedzi...

rewolucja

Był niezwykle zdolny i w rozwoju umysłowym przewyższał swoich rówieśników. Już w przedszkolu zamiast z innymi dziećmi bawić się zabawkami, przez cały czas przesiadywał w oknie, oczekując końca zajęć. To oczywiście powodowało, że nie mógł znaleźć sobie „odpo-

wiednich” kolegów i najczęściej przebywał sam. Od pierwszych klas szkoły podstawowej czuł swoją wyższość nad otoczeniem i często ją manifestował. Klasa, nie mając innego wyjścia, zaakceptowała ten fakt i w końcu uznała go za autorytet, z którym wszyscy powinni się liczyć. Nauka przychodziła mu nader łatwo, tak więc mając wiele wolnego czasu uczył się grać na gitarze oraz bardzo dużo czytał. Był słaby i chorowity. Nie znosił lekcji WF-u, ponieważ tam najczęściej obnażał swoją fizyczną słabość – w końcu jednak przyzwyczał się do przezwiska „fajtłapa”. Miał w sobie siłę buntu przeciwko wszelkim przejawom niesprawiedliwości, której przykładów doszukiwał się wszędzie. Jego młodzieńczą pasją stało się krytykowanie nawet najmniejszych błędów swoich nauczycieli. Często głos tej krytyki dochodził do nich i kilka razy obiecywano mu „odpowiednią” ocenę ze sprawowania na świadectwie, a nawet wyrzucenie ze szkoły. Nie przejmował się tym wcale, a wręcz wydawało mu się, że cierpi dla sprawiedliwości (z pewnością wpływ na to miały czasy, w których dorastał oraz zaangażowanie rodziców w działalność podziemnych struktur ówczesnej opozycji). Nie miał w sobie nic z pokornego ucznia, a coraz bardziej pragnął zostać rewolucjonistą, który zmieni – oczywiście na lepsze – świat. Ta idea na długo pozostanie wyznacznikiem jego myśli...

liceum

Był jedynakiem, a to powodowało, że rodzice zawsze gotowi byli nawet do największych poświęceń, aby tylko zapewnić spokojne

i szczęśliwe życie ukochanemu synkowi. To dla niego ojciec na kilka lat wyjechał za granicę, aby zapewnić mu materialny byt na odpowiednim poziomie. Miało to naturalnie swoje złe strony – Niki, bo tak pieszczotliwie nazywali go rodzice, nie potrafił samodzielnie przygotować sobie śniadania, wyprasować koszuli itp. – nie był przystosowany do normalnego życia. Nie wyobrażał sobie, że kiedyś będzie musiał pójść do pracy i przez osiem godzin monotonnego wysiłku zarabiać na utrzymanie swojej rodziny. Wiedział, że ma dwie lewe ręce i to chyba spowodowało, że wybrał liceum ogólnokształcące. Zresztą cieszył się, że wreszcie będzie mógł przebywać w swoim żywiole i zrealizować humanistyczne pasje. Od pierwszych dni ciążył mu bagaż „człowieka z prowincji”, ale bardzo szybko odnalazł się w nowym środowisku. Czuł się w nim dobrze; mógł być sobą i wiedział, że inni będą to akceptować. Zaczęło fascynować go, że każdy z nowo poznanych ludzi dzięki swej odrębności jest jakiś niepojęty. Wtedy odkrył tę odrębność również i w sobie samym, a z czasem nienaturalne i wręcz śmieszne stawały się jego zabiegi, aby być niekonwencjonalnym.

ucieczka

Miał słabość do muzyki i poezji. Zresztą to właśnie im poświęcał swój wolny czas. Gitara była dla niego ucieczką od kłopotów, których życie niesło coraz więcej. Małżeństwo jego rodziców nigdy nie było idealne, ale rozłąka spowodowana wyjazdem ojca z kraju jeszcze pogarszała tę sytuację. Po jego powrocie zaczęły się wypominania,



podejrzenia, kłótnie. W czasie jednej z nich ojciec powiedział w złości, że wolałby nie wracać wcale do takiego domu. Słowa te słyszał Mikołaj i pełen rozpaczyny wyrzekł się swoich rodziców: „Nie chcę mieć takiej rodziny, nie chcę mieć takiego ojca! Wyjedź sobie dokąd chcesz...”. Chciał opuścić dom i gdyby tylko miał dokąd odejść, z pewnością by to uczynił. Od tamtego zdarzenia „nie miał” już rodziców, rodziny.

szukanie

Nie chciał żyć jak oni, nie chciał zmarnować swojego życia. Chciał wybrać lepszą drogę, pragnął naśladować Jezusa, Gandhiego, Korczaka, Luthera Kinga... Szukał zatem swojej drogi, szukał ludzi, z którymi mógłby wędrować. Ciągle jednak determinowało go pragnienie czegoś wyjątkowego, niekonwencjonalnego i chyba dlatego nie mógł nigdzie znaleźć swojego miejsca. Przez pewien okres był związany z Ruchem Światło-Życie, ale szybko stwierdził, że jego członkowie niczym nie różnią się od „normalnych” ludzi, a ich spotkania to tylko zwykłe spotkania towarzyskie przy świeczce i gitarze. Zresztą – według niego – oaza chyliła się ku upadkowi moralnemu, a on nie chciał być tego świadkiem. Poszedł do Odnowy w Duchu Św., ale doszedł do wniosku, że z kolei jej członkowie są nieżywciami, a po egzaltowanym pokazie daru języków, na samo słowo „charyzmatyk” dostawał gęsiej skórki. Chodził na modlitewne czuwania wspólnoty Taize, lecz gdy w czasie Mszy zamiast części stałych zaczęto używać kanonów, wydało mu się to „zbyt protestanckie” i odszedł. Zaczęły fascynować go spotkania duszpasterstwa akademickiego, ale w końcu stwierdził, że na to ma jeszcze czas, a może w czasie studiów jeszcze tam kiedyś powróci. Znał

również ludzi pochodzących z innych środowisk: skinheadzi, punki, metalowcy, anarchiści, pacyfiści itp. – to go jednak nie pociągało. Szukał czegoś głębszego...

samotność

Powiedział kiedyś, że „ludzie, których zna, albo są jego przyjaciółmi, albo nie przyznaje się, że ich zna”. I rzeczywiście chyba mocno wierzył w to, że może być przyjacielem wszystkich ludzi, bo w każdym środowisku był dobrze znany, na ulicach ciągle spotykał jakichś znajomych, na biurku leżały stosy korespondencji, ciągle dzwoniły telefony... Ale w końcu zaczął dostrzegać, że to wszystko jest nienaturalne i w rezultacie prowadzi jedynie do „kolekcjonowania twarzy” (na zasadzie pseudo-przyjaźni). Nagle uświadomił sobie, że tak naprawdę jest strasznie samotny i nie ma nikogo, kogo mógłby nazwać Przyjacielem (właśnie takim pisany z wielkiej litery). Przystał odpisywać na listy, spalił notes z adresami, a gdy dzwonił telefon „nie było go w domu”...

spotkanie

Był zranionym przez życie rodzinne młodym człowiekiem z symptomami choroby sieroczej – tak tłumaczył sam przed sobą swoje buntownicze postanowienie, że nigdy nie będzie nikogo uszczęśliwiał na siłę swoją osobą w małżeństwie, że przez całe życie pozostanie samotny. Coś w tym na pewno było, choć przede wszystkim był na pewno nieodpowiedzialnym marzycielem, na dodatek jeszcze okropnie nieśmiały. Nigdy nie miał dziewczyny, bo bał się, że taka „miłość”

się skończy, a w jego sercu na całe życie pozostanie rana. Bał się wszelkich uczuć, uciekał przed nimi i robił wszystko, żeby tylko nie dać się „oswoić”. Był ogromnie uparty i dobrze wiedział o tym, że nie tak łatwo jest złamać jego postanowienia. Mało zresztą kto próbował tego, znając jego buntownicze, a zarazem niezwykle kłótniwe usposobienie. W dyskusjach przeciwstawiał się wszystkiemu i wszystkim, niejednokrotnie nawet zaprzeczając samemu sobie i obiektywnej prawdzie. W czasie jednych z wielu dyskusji podeszła do niego koleżanka (wtedy była jeszcze dla niego całkiem obcą osobą) i przeprasząc za to, co robi, do ręki włożyła mu małą karteczkę. Rozwinął ją i zaczął czytać zapisane cytaty z Mądrości Syracha: „Nie idź za twymi namiętnościami, powstrzymaj się od pożądań! Nie oskarżaj zanim dokładnie nie zbadasz, najpierw zastanów się, a dopiero potem udzielaj nagany. Nie odpowiadaj zanim nie wysłuchasz, a w środek mowy nie wpadaj! Nie wadź się o rzecz, która nie jest konieczna i nie mieszaj się do sporów grzeszników. Jeden milczy, bo nie wie, co odpowiedzieć, a drugi milczy, gdyż umie czekać na stosowną chwilę. Człowiek mądry milczeć będzie do chwili odpowiedniej, a chełpliwy i głupi ją lekceważy” (por. Syr 18,30; 11,7-9; 20,6-7). Te słowa go uderzyły. Były skierowane prosto w jego pychę. Potrafił jednak przyznać się do błędu i wziął je sobie do serca.

Od tego momentu bardzo często do nich wracał, pokazywał mi zresztą swoją Biblię, w której były zaznaczone kolorowym mazakiem. U Marty, bo tak miała na imię, słowa te autentycznie stawały się czymś realnym – była swoistą mistrzynią milczenia (oczywiście tego w pozytywnym znaczeniu).



pokora

Czasem jednak rozmawiali z sobą, a właściwie to prowadzili monologi, w czasie których Mikołaj uczył się cierpliwego słuchania. Uczył się przede wszystkim pokory, a to nie przychodziło mu łatwo. To właśnie wtedy z opowiadań Marty dowiedział się, że zmienić świat to znaczy zmienić siebie. Wówczas dopiero uświadomił sobie, że rzeczywiście wielu myśli o zmianie ludzkości, a prawie nikt o zmianie siebie samego. Był to przełom w jego myśleniu. Wiedział, że droga od teorii do praktyki jest długa, ale nie bał się podjąć tego wyzwania.

odwaga

Nigdy nie był tchórzem, ale i także nie odznaczał się nadzwyczajną odwagą. Bardzo często na ulicach widział żebrzących o wsparcie nędzarzy. Nigdy nie zwracał na nich najmniejszej odwagi, miał tyle swoich spraw i problemów. Pewnego dnia z zaoszczędzoną sumą pieniędzy (szczył się tym, że nigdy nie prosił o nie rodziców) udał się do sklepu po nowe pióro – stare złamało mu się i już od kilku dni pisał w szkole ołówkiem. Przed wejściem do sklepu leżał nędznie ubrany, brudny i zarośnięty starzec, który do przechodzących ludzi wyciągał drżącą rękę, prosząc o jakieś drobiazgi. Minał go obojętnie i udał się do stoiska papirniczego. Na wystawie czekało na niego piękne chińskie pióro, poprosił o nie. Jego myśli jednak aż do granic bólu wypełniał natrętny widok ulicznego żebraka. Ręce zaczęły mu się trząść, oblewał go zimny pot, w oczach pojawiły się łzy. Nagle odłożył pióro i przepychając się przez tłum zgromadzony w sklepie wybiegł na zewnątrz. Z namaszczaniem podszedł do starca, którego smutny wzrok do głębi przenikał

jego młodzieńcze serce. Spuścił głowę, wyciągnął z kieszeni wszystkie pieniądze i ścisnął je w dłoni żebraka. Czuł, jak topnieje jego obojętność. Czuł się wolny od własnego egoizmu. Na chwilę zatrzymał się dla niego czas – po raz pierwszy chyba w życiu poczuł się szczęśliwy.

miłość

Rzadko doświadczał jednak tak szczęśliwych chwil. Coraz częściej zamiast uśmiechu jego twarz zdobiła ponura mina. Życie nie szczydziło mu trosk i kłopotów. W takich chwilach wiedział, że jego przygnębienie może w radość zamienić tylko ona. Z wieloma osobami mógł wtedy porozmawiać, ale – jak mawiał – pomilczeć tylko z jedną. Reżyserował wówczas „przypadkowe” spotkania z Martą, w myślach układał nawet „spontaniczne” powitania. To go uspokajało. Świadomość, że gdzieś – choćby nie wiadomo jak daleko – jest jego „bratnia dusza”, napawała go optymizmem. Coraz częściej zadawał sobie również pytanie: kim ona właściwie jest, co dla niego znaczy? Z trudem przeszło mu to przez gardło, ale pewnego razu przyznał się sam przed sobą, że przecież jest w niej do szaleństwa zakochany. Zaraz jednak sam się przed sobą usprawiedliwiał, że jest to taka platoniczna miłość wzięta ze świętego Pawła, która „cierpliwa jest i łaskawa”, która przede wszystkim nie szuka swego... I rzeczywiście po każdym wspólnym spotkaniu brał do ręki ołówek i według tekstu Hymnu św. Pawła (1 Kor 13) prowadził swoisty rachunek sumienia: czy czasem nie „uniósł się pychą lub gniewem”, czy nie „szukał poklasku”... Nigdy nikomu ze swoich uczuć się nie zwierzał. Bał się, że zostanie wyśmiany, że nikt go nie potrafi zrozumieć. Zresztą właściwie to nawet nie

miał z kim porozmawiać o tym, uważał bowiem, że prawie wszyscy ludzie – tak dziewczyny, jak i chłopcy – patrzą na siebie tylko po to, żeby iść z sobą do łóżka, a tego się brzydził.

„klechy”

Codziennie starał się uczestniczyć we Mszy, na katechezie – jako jedyny z klasy – prowadził w zeszytach notatki z wykładów, niejednokrotnie stawał w obronie „wartości chrześcijańskich” – to powodowało, że wszyscy przepowiadali mu kapłańską drogę. Śmiał się z tego i w duchu powtarzał: „żeby oni wiedzieli, jaki jest mój stosunek do klechów...”. W czasie spotkań z księżmi istotnie odżywała w nim buntownicza pasja. Coś zaczynało się w nim kotłować i w zażartych dyskusjach zarzucał im, że w ciągłym powtarzaniu, iż są tylko zwykłymi ludźmi, zatracili ducha Ewangelii, że ich życie zaprzecza słowom kierowanym z ambony, że sami wożąc się mercedesami, chcą głosić Dobrą Nowinę zapracowanym, udręczonym przez życie, a przede wszystkim ubogim ludziom, że ..., że ... Nigdy jednak nie mówił tego za ich plecami, twierdząc, że „ludzie i tak swoje wiedzą, a ksiądz jest księdzem i jakiś szacunek mu się należy”.

Afryka

Nie spodziewał się, że taka myśl kiedykolwiek znajdzie miejsce w jego umyśle. Sam zresztą nie potrafił wytłumaczyć, kiedy i skąd się to u niego wzięło. W czasie jednego ze spotkań z Martą nagle zgodnie oświadczyli, że „Afryka ciągle czeka na jednego człowieka”. Tym „jednym” człowiekiem mieli być właśnie oni. Od tamtej chwili



podczas każdej rozmowy schodzili na temat misji, myśl ta autentycznie zaczęła ich „prześladować”. Mikołaj zdawał sobie sprawę, że – przynajmniej w jego przypadku – to zainteresowanie misjami gdzieś w dalekiej Afryce rodziło się z pragnienia ucieczki od ludzi, od normalnego życia, do którego nie był w stanie się przystosować. Chciał wyrzec się wszystkiego, nawet osobistego szczęścia i poświęcić się dla innych. Marzyła mu się „kariera” bezdomnego ofiarownika na wzór Stasi Brzozowskiej, Piotra Cedzyny czy Tomasza Judyma (por. „Siłaczka”, „Doktor Piotr”, „Ludzie bezdomni”).

serce

Był świadomy, że sam nie wie, czego w życiu chce, że jego marzenia są czystą utopią, ale mimo to zawzięcie szukał swojego miejsca w społeczeństwie, w Kościele, we własnym życiu. „Świat jest taki mały. Jak można się w nim schronić, odnaleźć swoje miejsce?!” – komentował swoje poszukiwania. Pewnego razu w ankiecie dotyczącej miejsca młodych w Kościele końca XX wieku, swoje własne określił cytując – na pozór nie mający nic wspólnego z tematem – fragment rozmowy Panny Młodej i Poety z „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego (akt III, scena 16):

Panna młoda: A kaz tyz ta Polska, a kaz ta? Pon wiedzą?

Poeta: Po całym świecie możesz szukać Polski, panno młoda i nigdzie jej nie najdziecie.

Panna młoda: To może i szukać szkoda?

Poeta: A jest jedna mała klatka – o, niech Jagusia przytknie rękę pod pierś.

Panna młoda: o zakładka gorseta, zeszyta trochę przyciąśnie.

Poeta: A tam puka?

Panna młoda: I cóż to za nauka? Serce?

Poeta: A to Polska właśnie.

epilog

Po wyjściu ze szpitala rozeszły się nasze drogi i urwał kontakt (nawet nie wymieniliśmy adresów). Pozostał we mnie jednak czar jego życia, które przy odrobinie wyobraźni może stać się luźną parafrazą początkowej fazy życia św. Franciszka z Asyżu. Mikołaj był dziwnym człowiekiem. Jego myśli, słowa czy zachowania nie mieściły się w żadnych kanonach. Był niezwykle złożoną osobowością – pycha, bunt, odwaga cechowały go tak samo, jak i pokora, nieśmiałość, lęk. Potrafił być jednak otwarty na wszystko, co niosło ze sobą życie – a z takim usposobieniem tak samo łatwo zejść na margines, co i zostać świętym... Piszę o nim „był”, ponieważ nie wiem, czy nadal jest tym samym chłopakiem, jakiego kiedyś poznałem. Tak samo może teraz przygotowywać się do wyjazdu na misje, jak myśleć o założeniu własnej rodziny. Gdy rozstawaliśmy się, jego najbliższymi planami było

zdanie matury i ukończenie szkoły średniej. To dziwne, ale nie bał się egzaminów, lękiem zaś napawała go... studniówka – zdawał sobie sprawę, że jeśli tam w ogóle pójdzie, nie będzie się dobrze czuł: nie pił, nie palił, nawet nie umiał tańczyć, a poza tym nie miał się z kim na nią wybrać (z Martą?). Stał się dla mnie przykładem młodego człowieka, który bardzo serio traktował kwestię odnalezienia własnego miejsca w świecie, w społeczeństwie, w Kościele.

Był niezwykle mądry i ocytany. Zawsze pod ręką miał jakiś cytat czy przykład z literatury, a trafnością swoich refleksji zaskakiwał rozmówców. To właśnie on uświadomił mi, że Kościół to ja, że miejscem piękniejszym od wspaniałych kościołów, cerkwi, meczetów czy synagog jest moje serce (choć tak łatwo można zmienić je w miejsce podłejsze od betlejemskiej stajni). Miał ogromny szacunek dla ludzi niewierzących. Przypominał zawsze, że przecież nie będziemy sądzeni z tego, czy uważaliśmy się za katolików, protestantów, muzułmanów, czy w kościele siedzieliśmy w pierwszej ławce czy staliśmy w przedsionku – ale będziemy sądzeni z miłości, z tego, co mieliśmy w swoim sercu. I dlatego – konstatując, chyba największy wkład w budowę Kościoła naszych czasów wnoszą nasze młode serca, te małe tabernakula, które są nadzieją świata, nadzieją Kościoła. Święty Paweł pyta: „Czyż nie wiecie, żeście świątynią Boga i że Duch Boży w was mieszka?” (por. 1Kor 3,16); a jak mówi jedna z piosenek rockowych: „i tak wszystko to, co mamy, jest w naszych sercach”.